



Wojenne bob.

BIBLIOTEKA „WIENÇA“ i „PSZCZÓŁKI.“

W. W. W. W. W.

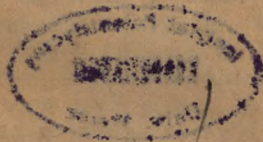
STARY SŁUGA

OBRAZEK

PRZEZ

Autora „Kłopotów Starego Komendanta.“

L. M.



WE LWOWIE.

Wydawca: *Ks. St. Stojalowski.* — Redaktor: *Aleks. Vogel.*

Główny skład w administracji pism ludowych „Wienca“
i „Pszczółki“ ul. Akademicka 1. 8.

1883.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKI A

Warszawa, ul. Nowy Świat 72

tel. 26-68-3

<http://rcin.org.pl>

00-370



STARY SŁUGA

OKRĄG

463



Z drukarni Towarzystwa Imienia Szewczenki
pod zarządem K. Bednarskiego.

<http://rcin.org.pl>

Cofnijmy się o lat trzydzieści. Przy bramie ogrodu Krasińskich w Warszawie, stoi siwy jak gołąb z podczernionemi wąsami inwalida, stoi, usiłując prostować się co chwila, bo siódmy krzyż na karku pochyla głowę na piersi, formując garb na plecach. Lecz więcej może niż tych siedem krzyżyków ciśnie głowę wysokie, kształtu kornetki, czako, na którego szczycie błyszczy podłużna blaszka, mająca przedstawiać płomienistą bombę.

Weteran ten nazywa się Kaczorowski — były wiarus trzeciego pułku ułanów z armii Napoleona, obecnie inwalida tak zwanego dziesiątego okręgu straży wewnętrznej, któremu powierzono wartę i porządek przy bramie ogrodu.

Szczodroblivość rządów porewolucyjnych ubrała go jak żałobnika w czarny, zaobszerny na niego uniform, składający się z kusego fraka o dziesięciu białych guzikach na przodzie, z czarnych na wyrost obliczonych pantalionów, zawiesiła mu u boku stary jakiś pałasz, na którym dla porządku wojennego uczepiono dwie również czarne o jednym palcu rękawice.

Kaczorowski jako podoficer ma obsztyt stojący kołnierz srebrnym galonkiem, pałasza nigdy nie wydobywa z pochwy, a przy wszystkich atakach na bramę powierzonej mu twierdzy, używa cienkiej, na białe z leszczyzny obskrobanej laski.

A trzeba wiedzieć, że służba jego na tym, jak się zdaje bardzo niewinnym posterunku jest cięższą może od służby fortecznej. Zakazano mu wpuszczać do ogrodu kucharek z koszykami, żebraków, żydów-chałatników i w ogóle osób nieprzyzwoicie ubranych. Z kucharkami łatwiejsza sprawa; zastępuje im drogę bez ceremonii i powiada:

— Moja panienko, nie wolno...

A gdy się ta upiera:

— Do kroćset batalionów, skoro mówię, że nie wolno, to nie wolno!

A gdy i to nie skutkuje, i fertyczna Warszawianka gwałtem chce przeforsować bramę, bierze ją żyłastemi rękoma za ramiona, odsuwa gwałtownie na stronę, sycząc przez zęby:

— Ależ to herod baba, gorsza od rekruta!

Inną cięższą walkę przychodzi mu staczać w dzień sobotni, gdy od samego rana gromady pejsatych żydziaków całutenki dzień Boży czatuja przy bramie, aby się wśliznąć do ogrodu. Kaczorowski wtedy musi jak bożek indyjski mieć oczy, które na wszystkie strony widzą, bo przebiegłe żydziuki wsuwają się jak cienie między wehodzącymi w aksamitach damami, czepiają sztachel, próbując się przez nie przeciskać, lub urządzają gwałtowne napady w ścieśnionych kolumnach. Udaając fałszywy atak od frontu, podrzeźniają ruchy starego, dokuczają mu różnemi minami, wyzywają, aby tylko odciągnąć od bramy, a gdy to się uda, zajązajona z boku kolumna wpada z zapalem do ogrodu, naigrawając się ze srogości weterana.

Wtedy gniew Kaczorowskiego dochodzi do

passyi, goni uciekających i jeżeli mu się uda dopędzić którego, wynosi go za kołnierz z ogrodu i niby surdut przeznaczony do oczyszczenia, trzepie swą laską wśród krzyku uciekających towarzyszy.

Kaczorowski nie cały dzień jednak trzyma straż przy owym żydowskim rajcu. Służba jego trwa dwie godziny z rana i dwie po południu, albowiem luzują go inni, w takim samym rodzaju kamraci.

Prócz uniformu wojskowego, który pan podoficer dla jego brzydoty i ordynaryjnego gatunku nosi tylko z musu, dostaje on trzydzieści złotych polskich na miesiąc żołdu — i nic więcej. A choć w Warszawie nie takie wówczas ciężkie były czasy jak dzisiaj, to dla Kaczorowskiego, mającego żonę i dwunastoletniego wyrostka — nie było nigdy lekkich czasów, z powodu których obsługuje dwóch młodych urzędników, i za to pobiera od każdego miesięcznie po pięć złotych polskich...

Otóż do tych obsługiwanych przez pana Kaczorowskiego miałem honor i ja przez kilka lat należyć, i tej właśnie okoliczności zawdzięczam naszą znajomość. Pan Szymon jest już w tem położeniu starego wiarusa Napoleończyka, do którego możnaby zastosować ludowe przysłowie: „że dusza chciałaby do rajcu, ale jej grzechy nie wpuszczają.“ Nie może zapomnieć, że kiedyś z cesarzem na przodzie, z lancą w rękę i w świetnym z amarantowemi rabatami mundurze, przebiegał całą Europę od Saragossy do Moskwy, widział upadające trony, druzgotane armie, tryumfy, boje; słyszał ryk dział, szczęk pałaszy, świst kul, kar-

mił się dymem prochu — a dzisiaj, w burej z grubego sukna siermiedze, bo tak nazywał swój płaszcz wojskowy, musi rozbijać żydów przed ogrodem, i nosić na trzecie piętro konewkami wodę do prania dla pani Szymonowej. Usługa go nie żenowała. Bywało panie sekretarzu toż samo i w pułku, mówi, ale ta miękka woda do prania, to trzecie piętro, ta służba u baby psuły mu zawsze humor...

— Ależ ta baba, panie sekretarzu, to mię zapręgåła jak starą wyranżerowaną szkapę... Nie, tylko: Szymonie daj miękkiej wody... Szymonie postaraj się o wodę, bo mam dużo prania... Szymonie trzeba chłopaka oddać do szkoły... Szymonie odnieś bieliznę panom — Szymonie przynieś bieliznę... A to co do kroćset kartaczy...

— Pocóż Kaczorowki słuca?

— Ba niesłuchajże pan — odpowiada, stając na środku i rozkładając szeroko rękami — kiedy mi od rana do nocy suszy głowę tą wodą i jęczy i klekocze i morduje... No i poradźże tu z babą... Powiada: patrzaj czyż ja się lenię, czy nie pioreę po całych dniach, aż mi ręce odmokły? I prawda panie sekretarzu, odmokły jej... Powiada, trzeba chłopaka do szkół, trzeba mundurek... No prawda że trzeba... niechby wyszedł na ludzi do kroćset, bo jak tu teraz żyć głupiemu człowiekowi! Dawniej, co tam nauka znaczyła! Nasz porucznik Duniecki ledwie się podpisać umiał, a został porucznikiem w *śwołizierach*... a to chłop prosty z Borzęcina — moja go jeszcze pamięta, jak służył za gajowego.

— Mój Kaczorowski — przerywam gawędę staremu — ale jabym chciał wypić herbatę a nie

mam bułek, niechno Kaczorowski przyniesie od przekupki...

— Bo to widzi pan o tym Dunieckim chciałem powiedzieć...

— Nie będę na czas w biurze...

— W sam czas będzie pan sekretarz, w sam czas jak Duniecki... — mówi śmiejąc się pociesznie. — To dobra historia jest z tem w sam czas... Duniecki gorący był panie sekretarzu i jak trzeba było na ochotnika on zawsze jest... Pamiętam pod Połtuskim stoimy w szeregu, a mróz siarczysty. Duniecki leci naprzód pod miasto na zwiady... Ja wołam: a gdzie to bracie? A on odpowiada: daj mi pokój, nie będę na czas... i poszedł... Armaty zagrały panie, nas posunęli naprzód marsz; marsz... Dolatujemy do miasta, a tu patrzę wiozą mojego Dunieckiego z przechlastaną gębą... A co bratku byłeś na czas? mówię do niego. „W sam czas, w sam czas“, odpowiada przytrzymując sobie palcami rozciętą gębę, bo mówię panu sekretarzowi jakiś kozuń rozplątał mu ją od ucha do ucha.

Ledwie wyprawilem starego po bułki, lecz jakoś nie wraca. Czekam, wychodzę do sieni, nie widać — wychodzę na dziedziniec, aż tu mój Kaczorowski z konewką w rękę jak złodziej jaki, skrada się do balii podstawionej pod rynnę i podstawia swoją konewkę pod dzióbek, a ogląda się, czy go kto nie widzi, zaciera ręce z radości, patrząc jak mu się wodą napełnia owa konewka.

— Kaczorowski! — wołam.

On się tylko obejrzał, ale daje mi znać, że bym mileżał, stoi pod ową konewką, stoi, czeka, a gdy się już napełnia, porywa za ucho, i tak

chyłkiem po pod oknami oficyny cwałuje do sieni.

— A gdzie bułki?

— Sielna woda panie sekretarzu, a jaki deszcz kapitalny. Ta kucharka od naczelnika, żeby zobaczyła, toby mi napędziła feferu... Będzie na trzy dni do samowara... Nie ma wody jak deszczowa, moja powiada, że to jest złoto...

Otóż na punkcie tej wody, stary Kaczorowski naprawdę sfiksował, i nie mogła większa być dla niego męka, jeżeli deszcz zaczął padać, a on był na warcie... Kucharki nie kucharki, żydzi w sobolowych czapkach, obszarpańcy, wszystko to mogło gromadą iść sobie do ogrodu — on nie nie widział, nie nie słyszał, tylko medytował, stojąc w szyldwachowej budce, i wysadzał głowę, bada z kądem chmury idą, czy ten deszcz wytrzyma, dopóki jego się służba nie skończy, i czy też tam Salusia ma ten rozum, aby bezułkę pod rynnę podstawić.

Wtenczas nie było jeszcze w Warszawie wodociągów, zatem miękka woda była w ogromnej cenie, poprostu w każdym domu służące wyprawiały na nią prawdziwe polowanie. Każda rynna, idąca z dachu, wpuszczona była na dole do beczki zamykalnej na kłódkę, od której klucz mieli tylko znaczniejsi lokatorowie, więc jak tylko deszcz zaczął padać i woda przepelniała beczkę, służące dobijały się o pozwolenie łapania tej zbywającej deszczówki, nosiły do kuchni, zapełniały wszystkie wolne beczki w piwnicach, aby tylko mieć zapas do prania i na herbatę.

Naturalnie, że ani taki lokator jak ja, ani jak Kaczorowski, nie mieliśmy swej rynny, przeto

zaopatrzenie się w wodę zależało od łaski tych Krezusów wodnych z parteru lub drugiego piętra... Do obowiązków Kaczorowskiego należało dostarczenie owej wody na samowar, nie więc dziwnego, że aby jej nie nosić aż z Mostowej ulicy, gdzie była studnia, z której kupowano wodę zdatną na herbatę, łowił deszczówkę jak mógł i chronił ni-
by jaką świętość...

— Bobby pan sekretarz dał cztery złote na beczulkę — suszył mi głowę od roku — cóż to znaczy taka koneweczka, z pozwoleniem figa....

— Mój Kaczorowski, gdzieżbyś ją postawił... przedpokoju nie ma, w pokoju ciasno, a zresztą jakże tu beczulkę wnosić...

— Eh, na wszystko jest wojskowy sposób.

— Ciekawym...

— Tu koło łóżka by się ustawiło... nakryło denkiem, potem dywanikiem, i ktoby tam wiedział, że to jest beczka...

Byłem innego zdania co do owego wojskowego sposobu umieszczania beczki, więc zbywałem starego obietnicą, że kupimy tę beczulkę na wiosnę, kiedy będą tańsze; to w jesieni, kiedy przywożą z prowincyi beczki na sprzedaż, i tak ja-
kós udawało mi się przez rok cały, pomimo, że co dzień regularnie przypominał się Kaczorowski.

Na drugi dzień po owej rozmowie naszej, jeszcze leżałem w łóżku, kiedy słyszę ktoś puka do drzwi. Pytam: kto tam?

— Ja Kaczorowski.

— A cóż tak wcześniej dzisiaj? — pytam, gramoląc się, aby mu otworzyć.

— Bom z przeproszeniem kontent jak sto

par dyabłów — mówi wchodząc z wesołą miną.

— Cóż takiego się stało? Czy Kaczorowski znalazł beczuleczkę czy awansowali Kaczorowskiego na oficera?

— Może jedno i drugie będzie — mówi zacierając ręce, i pokręcając węsą. — Tak awansowałem panie sekretarzu, awansowałem ale nie w wojsku...

— To gdzież?

— W rozumie z przeproszeniem — rzecze z pewną powagą, prostując się ile na to starość dozwalała. — Mój Wicusz czytał nam niedawno, że w *Hispanii* był jakiś *Gołumb*, nie wiem tylko, czy to prawda jest, bo i ja byłem w *Hispanii*, ale o takim *Gołumbie* nie słyszałem.

— To pewnie *Kolumb*.

— Niech mu będzie i *Kolumb* — mówi, zdejmując płaszcz żołnierski — ale musiał to być jakiś kiepski generał, bo ten co z nami się ucierał, to go nazywali inaczej. *Sielma* sprytny był, kiedy się naszemu cesarzowi tak wykręcał... *Nieboszczyk* *Wincenty* jak był adjutantem...

— Któryż to *Wincenty*?

— No, *Kraśniński* przecie.

— Ale cóż z tym *Kolumbem* — przerywam, ezując że stary ciągnie widocznie na *Saragosę*, o której szturmie już tyle razy słyszałem, jak równie o tym kufrze ze skarbami, który mój *Kaczorowski* z niejakim *Karpińskim* zakopali gdzieś pod murami klasztoru, a potem nie mogli trafić.

— *Chłopiec* czytał, że ten *Gołumb* czy tam *Kolumb* postawił jajko...

— No postawił, prawda.

— Wielka rzecz, jak go natłukł, a ja z prze-

proszaniem nie nie stłukłem, ale niechno deszcz lunie, a będzie najdalej jutro, bo mię już po nodze strzyka, to pani rejentowa po wodę do beczki, a tam fiu!.. nie ma nic — kończy dmuchając po dłoni.

— Et, Kaczorowski znowu z tą wodą wyjeżdża na scenę. Jużby czas było dać jej wieczne odpoczywanie.

— Właśnie jak raz dałem! — mówi rozkładając przedemną rękoma. Bo to proszę pana sekretarza deszcz puk, puk, cały dom wylega — lecą do beczki, odmykają wieko, a tam nic! patrzą do góry — także nic! Cha, cha, cha, jak to z przeproszeniem porozdziwiają gęby, a gdzie? a co to się zrobiło?... A ja z przeproszeniem założę sobie ręce za siebie, zażyję tabaki, kiwnę głową, co to pan rozumie, i śmiać się będę na całe gardło. Cha, cha, cha, zamykaj babo beczki zamykaj... możesz zamykać do sto par!... ja nie biorę...

— Mój Kaczorowski — odpowiadam na to, przypatrując się staremu — jeżeli się nie mylę, to chyba ci którejs klepki dziś nie dostaje.

— Z przeproszeniem pana sekretarza — rzece filuternie potraszając głową — brakuje to prawda, ale nie klepki, tylko dachówki, i nie w głowie, ale w dachu. Bo gdzie to pan sekretarz widział: żeby dach klepkami był pobijany. W miastach proszę pana cynk albo dachówka — drzewem nie wolno.

— Dalibóg już tego nie rozumiem, mój Kaczorowski, nastawiaj prędko samowar i dawaj wodę do mycia.

— Ot, to, to — prawi dalej stary sługa, kłując mi przed oczy palcem — wszyscy tak samo będą mówili. Bo to rynna jest między dwoma dachami szeroka, jedna dachówka z przeproszeniem furt wyjęta, rynieneczka malutka ot tak przystawiona, pod nią stoi trzygarncowa baryłka. Deszcz lunie, to po kiego dyabła ma woda lecieć tam na dół aż do rejentowej, kiedy jej będzie bliżej rynienką na strych do mnie... Głupiaby była, żeby tam szła. Ja panie siedzę sobie na stołeczku, fajkę kurzę i co się baryłka napełni — marsz do balii, marsz do cebra, marsz do garnków. Po schodach się już nie tłukę, pani doktorowej figę pokażę... wody mamy huk, moja pierze... chłopak ma mundurek szkolny, a rejentowa rozpeknie się ze złości...

— Eh! do kaduka — odzywam się znudzony całą tą historią — Kaczorowskiemu plecie się i plecie bez ładu i składu; niechże ja raz wiem co to za rynienka, co za dachówka... co to wszystko jest?...

— Hm, a cóż innego, jak nie rozum i spryt wojskowy! — rzeczy z pewną dumą uśmiechając się wesoło. — Gdzieby to cywilny trafił na taki sposób, albo spenetrował, że koło naszego strychu idzie rynna. A ja proszę pana sekretarza wszystko wysztuduję, siak, tak, zwącham pismo nosem. Widzę jedna dachówka się rusza — wyjąłem; patrzę rynna między dwoma dachami i już jestem w domu. Wydłubałem małą rynienkę, przystawiłem do tamtej, zrobiłem zastawkę, żeby się woda do mnie kierowała i czekam, co to będzie, żeby tylko Pan Bóg dał deszcz...

Szczyściem dla Kaczorowskiego, a nieszczę-

ściem dla mnie na drugi dzień zachmurzyło się na dobre i skutkiem zapewne tego stary sługa się nie pokazał. Zdarzało się nieraz, że Kaczorowski przyjsć niemógł, więc idąc do bióra, wstępowałem do ogrodu Krasińskich, i oddawałem mu klucz od mieszkania, a on sobie po zejściu z warty robił porządek w mieszkaniu. Tak było i teraz. Podchodzę do budki szyldwachowej — Kaczorowskiego nie ma, siedzi tylko jakiś inny weteran i drzemie; oparłszy ręce na płaszczu.

— Czy nie ma Kaczorowskiego?

— Wojciech Włodarczyk, z pierwszej kompanii drugiego batalionu, pierwszego pułku szwoleżerów na posyłki... — recytuje stary, zrywając się na równe nogi i stając frontem przedemną...

— Pytam o Kaczorowskiego, czy chory?

— W Imię Ojca i Syna, a to mi się zdawało, że ja u pułkownika w przedpokoju — mówi stary, zapinając pod brodą rzemyki czaka. — Wszelki duch Pana Boga chwali... Hm... nieboszczyk Deskur stał przedemną... A, a, Kaczorowski... pan chce Kaczorowskiego?... To rekrut panie kochany z ósmego roku.... Baba go za łeb trzyma...

— Dobrze mój panie, tylko nie wie pan, dlaczegoż nie ma go na warcie?

— Baba nie pozwoliła i przyleciał do mnie, żeby iść za niego...

— Czy chory?

— Cuda panie u niego... manna mu leci z nieba... zawsze tak było, bo to fines baba... Ale ten Deskur, żeby mi tak stanąć przed oczyma... *Sapristi*, powiada: Włodarczyk z depeszą do generała!...

Widząc, że od starego nie się nie dowiem, bo rozpamiętując swój sen, nie mógł się jeszcze zorientować, biegnę do mieszkania mojego starego sługi tembardziej, że potrzebowałem bielizny, którą przed kilku dniami jego żona zabrała do prania.

Niedaleko od ogrodu, przy ulicy Długiej, na trzeciem piętrze, a raczej na poddaszu mieszkał Kaczorowski. Zajmował jedną stancyjkę o dwóch oknach w głębokich framugach osadzonych. Wchodzi — w izbie nikogo nie ma, rozpatruję się tedy dokoła. Porządek wzorowy, czysto, schludnie, biało. Nad łóżkiem, widocznie Kaczorowskiego, wisi u góry tak jak w koszarach tornister cielőcy, stary zszarzany, z taką mozaiką łat różnego koloru, wielkości i formy, że samego tła dawniejszego prawie nie widać. Ale rzemieńne paski przy nim czernieją się połyskująco — sprzączki wyczyszczone, a sam tornister wyładowany kompletnie; widocznie służy jeszcze do użytku. Pod nim obrazek świętego Szymona Judy ubrany palmą z kwietnej niedzieli, niżej irchowa torebka z zegarkiem a pod nim znowu służbowa poźółkła książeczka. Nad głowami sterczy przybita pułka, na której pierwsze miejsce zajmuje walcowaty sukienny mantelzaczek z przyborami krawieckimi, cały nasadzony igłami, dalej torebka z guzikami, zwitek z różnych kawałków sukna, kreda, szczotka do wąsów i deszczułka cienka z wyciętem kółkiem i szparą do czyszczenia guzików.

Chodzę po stancyi, chrząkam, stukam — nikogo nie ma. Lecz po chwili zdaje mi się, że słyszę za ścianą jakiś szmer niby przelewanie wody; uchylam więc drzewiczki, na strych prowa-

dzące, i o ile ciemność pozwala, dostrzegam mojego Kaczorowskiego, jak z wielkiem zajęciem przysiadłszy koło wielkiej balii, wyławia tam coś ogromną drewnianą warzechą.

— Czy to wy Kaczorowski? — pytam, zbliżając się ku owej balii.

— Niech się Gołumb schowa! — krzyknie stary, zrywając się na równe nogi. — Do kroć set poddoficer Kaczorowski nie w ciemę bity, nie!.. Niechno pan sekretarz zobaczy, jak woda jedzie, co?

Rzeczywiście rynienka przesunięta przez otwór w dachu; woda jedzie do beczki grubym strumieniem, a pani Szymonowa czerpiąc tę wodę, odnosi i odnosi na bok; tak jest uszczęśliwiona pomysłem męża, tak napełnia beczki, cebrzyki, garnki rozstawione po całym strychu, że nawet nie ma czasu ze mną się przywitać.

Jestto krzepka jeszcze, rumiana z siwemi włosami kobiecina, nadzwyczaj sympatycznej powierzchowności. Szczególniej jak zacznie mówić, to choć wyrażenie jej proste, jednak przy łagodnym uśmiechu twarzy i głosie niezmiernie melodyjnym, jest tak przyjemną, że można prowadzić z nią gawędkę po całych godzinach.

— Ale to panie nie woda! — rzecze Kaczorowski, nie przestając łowienia czegoś po powierzchni — w tem już był mój rozum... ale niechno pan spojrzy, co tu się robi?

— Jakiś cud, proszę pana sekretarza — dodaje żona.

— Manna z nieba... Niechno się pan nachyli.

Nachyliłem się nad ową balię, bo na strychu dość ciemno, i rzeczywiście zgłupiałem. Woda leje się z rynienki, a co kilka chwil spada z nią to mały obwarzanek, to piernik, to kawałek świętojańskiego chleba, a gdy strumień idzie silniej, trafi się napeężniała figa.

— Co to jest? z kąd to się bierze?

— Niech pan sekretarz spróbuje — mówi z uśmiechem szczerzej radości stary sługa, podając mi kawałek piernika. Prawdziwy, jak honor Kocham, nie zatruty... myśmy już próbowali... Niechno pan sekretarz spojrzy, co ja tu tego nałapałem... Ot ma pan, znowu obwarzanek jedzie...

— My tu od rana łamiemy sobie głowę, z kąd to się z deszczem bierze — odzywa się Kaczorowska — i niczego dojść nie możemy.

— No z kąd, z kąd? — przerywa mąż układając na desce złowiony obwarzanek — juźcież, że nie z nieba... Ktoby tam lepił w niebie obwarzanki? Chyba stare żydówki, a tych przecie do nieba nie puszczają... Ja ich z przeproszeniem z ogrodu ruguję, a cóż dopiero święty Piotr! Ale ki dyabeł to być może.

— Juź zaczynasz rozpuszczać twój język stary! Juź sadzisz dyablami — mówi Szymonowa.

— Dawny żołnierz nie boi się najstarszego dyabła... Co mnie dyabeł robi, no, co? — Jeżeli człowiek nie zląkł się Kroatów, Kałmuków, Sasów, Westfalów, Ispanów, Prusaków, Szwedów i Moskali... do kroć set...

— Tak on zawsze, proszę pana sekretarza, tak... do spowiedzi niby to chodzi, a powiada, że

konie stawiali po kościołach... Ten ich Napoleon to musiał być straszny heretyk...

— No, no, no... tylko mi z naszym cesarzem ani wyjeżdżaj... Ty wiesz co to jest cesarz!

— Wiem, nie widziałam to już monarchów?

— Jakich ty tam widziała! — przerywa jej stary, machnąwszy ręką... Nasz jak przeleciał przed frontem na siwku, to niech wszystkie dyabli wezmą, jaki to był cesarz... On panie nie patrzył a świ-drował oczami. *Bije, zamfam, braw Polone... nawam* — powiada, a koń to mu tak kopytem grzebie, a on sobie perspektywę do oka, a jenerały koło niego od złota a jeden był taki czarny z chustką na głowie podobno aż z tureczyny.... Niechno pan patrzy, znowu piernik... Ki dyabli, a temu końca nie będzie... Jak przyjdzie chłopak ze szkoły, dopiero to będzie miał co pucować... Tylko panie sekretarzu, wisus straszny, wszystko zobaczy, wszędzie go licho wniesie, taka już natura u tego chłopaka... Miałem w tornistrze kilka jabłek, myślę sobie, tam już nie znajdzie... Ale gdzietam; ja wczoraj do onych jabłek, myślę sobie: dam mu jedno... a tam nic... on je już dawno wszystkie wyprowadził... skropiłem, nagadałem, ale to psu na budę się nie zdało...

Zostawiwszy klucz Kaczorowskiemu, poszedłem do biura, odprowadzony do drzwi przez Szymonową, która narzekając na bezbożność męża. była przekonana, że owe pierniki, obwarzanki i figi spadają z nieba dla biednych ludzi, jak to niegdyś manna dla żydów na puszczy.

Przyznam, że i mnie trochę zaciekała ta sprawa z obwarzankami, bo słuchając tych opo-

wiadań Kaczorowskich, zapomniałem zapytać, co się dzieje z moją bielizną. Przytem miałem na głowie i swoje zmartwienie; brakowało mi jednego rubla pieniędzy, i właśnie wtenczas, kiedy go najwięcej potrzebowałem. Mam ten nieporządny zwyczaj chowania pieniędzy po wszystkich kieszeniach a najczęściej do kamizelki, i często zmieniając suknie, zapomnę wyjąć, a potem jak trzeba, szukaj, przewracaj, susz głowę, molestuj Kaczorowskiego, dopóki się nie wynajdzie.

Toż samo trafiło mi się dzisiaj, bo kiedy przyszło płacić za obiad, ja do sakiewki a tu nie ma rubla, którego jeszcze przedwczoraj miałem. Do pierwszego było coś trzy dni a ja bez grosza, więc wróciwszy do domu, rozpoczynam najściślejszą rewizyę w biórku, między papierami, w książkach, w ubraniu, a nawet między śmieciami, które wczoraj Kaczorowski do pieca zatransportował — nigdzie nie ma. Głupia sprawa, rubel rzecz niewielka, ale kto nie ma więcej, taki rubel jest skarbem... Medytuję tedy, gdzie się mógł podziąć... Szymona nie mogę podejrzewać, bo to człowiek nieskażonej uczciwości — więc zaczynam rachować, co wydałem wczoraj, pozawczoraj gdzie byłem, co płaciłem, a z tego wszystkiego wypada, żem powinien koniecznie mieć tego rubla... Naraz przypominam sobie, że przez kilka dni nosiłem żółtą pikową kamizelkę, którą właśnie Kaczorowski wziął do prania, i że niezawodnie musiałem w kieszonce ów paperek zostawić. Gdy więc pokazał się stary sługa popołudniu pytam go czy się moja kamizelka pierze.

— A jakże panie, pierze się, pierze, jak sto

par dyabłów. Wody nie brakuje... mydło to tak z przeproszeniem, jak śmietana pieni się...

— Szkoda — mówię skrzywiony — to pewnie i mój rubel przepadł!

— Jaki rubel?

— Brakuje mi jednego; który, zdaje mi się został tam w kieszonce... Niezawodnie tam był...

— Masz tobie z przeproszeniem — rzecz stary z zafrasowaną miną. Baba każda to zawsze tylko baba, powinna była zajrzeć... Ale... poczekajno pan, czekajno pan... rychtyk... a niechże jego jasne, siarczyste, ogniste zatrzaskają!.. — zawoła szczególniejszym głosem, załamując ręce, a oczami szukając czapki po pokoju. — Ot i obwarzanki i pierniki!... nieszczęście moje... kradzież!... złodziejstwo... mój syn Wicusz! — powtarza zaciskając pięście i wynosząc się gwałtownie z pokoju.

— Kaczorowski, Kaczorowski! wołam za nim.

— Nie mogę, złapię z przeproszeniem... Rubel był co, tak panie, rubel?

— Rubel — mówię już w sieni, zatworzony wzburzeniem starca. — Ale to nie pewne, czy ja zostawiłem...

— Znajdzie się panie, znajdzie... Ja lecę... ja tu zaraz przyjdę... damże ja ci dam... — woła stary jakby do siebie, zbiegając ze schodów.

Niespokojny, co mu się stać mogło, wyglądam na ulicę; patrzę, Kaczorowski bez czapki w rozpiętym płaszczu roztrąca wszystkich, leci i macha ręką, jak waryat jaki. Nie wiele myśląc, łapię i ja za czapkę i za nim. Dość szybko chodzę, no i młody jestem, ale starego niepodobna mi dopę-

dzie; widzę tylko, że miga mi się z daleka, że ludzie mu ustępują z drogi, oglądają się zdziwieni, czy to nie waryat, nareszcie wpada do bramy domu gdzie mieszka, a ja za nim. Zdyszany, wchodząc po trzy schody naraz, staje przed drzwiami jego izdebki, aby cokolwiek tehu zachwycić, i słyszę chrypliwy głos Kaczorowskiego.

— Gdzie on jest?... Pierniki!... Kamizelka!...

— Jakie pierniki, jaka kamizelka? Co ty gadasz Szymonie?

— Żółta, do sto par dyabłów! no żywo z przeproszeniem, dawaj... Tam rubel w kieszeni..

Wszedłem do stancyi, patrzę Szymonowa stoi przy balii cała przestraszona niezwykłym rozgorączkowaniem się starca, podczas gdy Szymon nie patrząc na nikogo, wyrzuca z wanienki mokrą bieliznę na podłogę.

— Ale dajno pokój, Kaczorowski — odzywam się — może nie zostawiłem.

Lecz stary ani mię słyszy, ani widzi, tylko znalazłszy ową kamizelkę drżącemi rękoma rozwiera gwałtownie kieszonki, wydobywa je na wierzch, a podstawivszy pod oczy zdumionej kobiety, krzyczy z całą zajadłością:

— No gdzie jest, gdzie rubel? No dawaj, szukaj... Tu był, prawda panie, był?... Powinien być!... kradzież w domu!

— Ależ dla Boga, przecieżem go nie wzięła!

Chcę objaśnić Szymonową o co to idzie, ale Kaczorowski nie daje mi mówić, tylko przyskakuje z ową kamizelką do żony i ciągle woła:

— Dawaj mi tu rubla, do kroć tysięcy batalionów dyabłów... dawaj!

— W Imi Ojca i Syna...

— Tak, tak, syna, dawaj mi tu syna twojego, Wicusia, dawaj go, gdzie on jest!... Zabiję, uśmiercę!... Masz pierniki z nieba!... To on wyjął ztąd rubla! A poczekajże mi ty jakiś...

Nie dał sobie nic perswadować, ani słowa powiedzieć, a gdym objaśnił żonę o co tu idzie, biedna kobieta aż drżała ze strachu oglądając się ciągle na męża...

Tymczasem Kaczorowski usiadł na kufrze, podparł głowę obu rękami i zaczął płakać jak małe dziecko... Patrzajże ty Franusia, że ten nasz syn złodziej! A bodaj ja był nie doczekał dnia tego, a bodaj mię była pierwsza kula trafiła, aniżeli teraz ponosić taki wstyd, taką hańbę... Ach mój ty wielki Boże, czegoż się doczekałem na stare lata?... Syn Kaczorowskiego złodziej!... Wincenty Kaczorowski!... A jakże teraz podniosę oczy na ludzi, a gdzież ja się schowam?...

— Mój stary — perswaduje mu żona — czegoż ty się martwisz, może to jeszcze nie on? zresztą odda się panu sekretarzowi...

— Odda się, odda się... a jużciż musi się oddać... Ale któż mi odda mój honor?..... Syn starego żołnierza z wielkiej armii, któremu przez lat sześćdziesiąt grosz jeden cudzy nie przylepil się do ręki!... Jego syn złodziej!... Boże, zlituj się nademną!...

Nie było co dłużej robić w tak przykrej sytuacji, bo rzeczywiście i mnie się na płacz zbierało, widząc tę pooraną twarz starca, po której łzy jak ziarnka grochu spadały na podłogę... Uspokoilem tylko jak mogłem zmartwioną kobietę

i wyrzuciłem sobie, że nie będąc pewny zostawienia owego rubla w kamizelce, wytoczyłem tę sprawę, która tak bolesne sceny wywołała.

Na drugi dzień ledwie że świtać zaczynało, słyszę ktoś puka do drzwi. Otwieram, a tu zapłakany Wicusz pokazuje się trzymając rubla w ręku, a za nim z ponurą miną jak widmo jakie blady, przygarbiony, ze spuszczonej oczyma Kaczorowski.

— Co to jest? — pytam.

— No, cóż panie, złodziej! — rzekł krótko stary popychając chłopaka naprzód. — No, mów!

— Przepraszam... proszę pana... — wybąkał chłopiec podając mi rubla i plackiem do nóg.

— Mój Kaczorowski, na co takie rzeczy?

— Bo to on zwędził z kamizelki... Wstyd proszę pana, ciężki wstyd!

— No, no — mówię podnosząc chłopaka — dziecko jeszcze, myślał że znalazł... Kaczorowski też zanadto na seryo to wziął.... Swawola, lekkomyślność...

— Ale, ale! gadaj tam pan. Z przeproszeniem inaczej pan myśli... Cóż robić, trudna rada... Przynależał on ci wprawdzie poprawę i dlatego niech pan sekretarz daruje...

Naturalnie że darowałem, raz, że dość miał kary od ojca, a powtóre, że to był tak ładny z inteligentną twarzą chłopczyzna, iż trudno gadać mu jakieś morały, kiedy w oczach jego malowało się takie przygnębienie i boleść, że byłem pewny, iż nie pójdzie więcej na złą drogę...

— To to on proszę pana zakupił sobie za owego rubla tych pierników i innych łakoci

i schował je do rynny. Podniósł sobie dachówkę i myślał że nikt nie zobaczy... Ale pan Bóg ma wszędzie oko, spuścił deszcz... i złodziejstwo wyszło na jaw...

Chłopiec poszedł do domu, stary wziął się do porządkowania, a ja chcąc go trochę pocieszyć mówię:

— Wie Kaczorowski, kiedy się już tak stało, że oddajecie rubla, to proszę cię weź go i kup już tę beczułkę...

— Nie trzeba proszę pana.... Obejdzie się, gdzieby ją postawić?

— Co znowu — pytam zdziwiony — czy Szymon już zrejterował przed wodą?

— Eh, panie dajmy już temu pokój!... Tak, z przeproszeniem człek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Rozum rozumem, a wola Boska wszystko w niwecz obróciła.

— Cóż tam się stało?

— Głupstwo, nieszczęście i basta. Już panie wody nie potrzebuję — *haus!* klamka zapadła!

Moja z przeproszeniem prać nie będzie, ja nóg zrywać nie myślę, chłopaka oddaję do krawca.. Wczoraj jak pan wie, byłem okrutnie zgryziony i jak się położyłem spać, to jak drewno. A tu w nocy nowy deszcz, ulewa, pioruny... Kaczorowski spi, woda się z przeproszeniem leje, balia się przepelniła i na pułap...

— No i cóż?

— To, że teraz z przeproszeniem i budowniczych pocziwych nie ma... Wszystko po partacku, mury cienkie, polepa byle jaka, sufit pozał się Boże...

— Nie rozumiem.

— Przeleciała do sto par kartaczów wszystka woda przez sufit do pani rejentowej na drugie piętro... Zrobili alarm w nocy, przyleciał rządcą, przyleciał gospodarz, co, gdzie, zkad? — Niech ich tam Bóg sekunduje i z wodą... o mało mię nie zjedli.

— Dobrze, bardzo dobrze, może to Kaczorowskiego oduczy od tej wody — mówię, śmiejąc się ze starego.

— Ech, oduczy nie oduczy — przerwał żywiej — żeby nie to nieszczęście żem zaspiał to z przeproszeniem i pies by niewiedział... Niechno zapomną trochę, to ja sobie już lepiej to wszystko wyrzuczę, bo już rynienkę dam do samej stancyi i tak coś zrobię, żeby mię jak deszcz pada obudziło... No już ja to wymyślę żołnierskim rozumem...

Słówko jeszcze o Wicusiu. Dziś ma swój własny i we własnej kamienicy zakład krawiecki wzorowo prowadzony, a ile razy zamawiam u niego robotę, tyle razy naśmiejemy się z owego rubla, a zarazem westchniemy, oddając cześć pamięci tak zacnego i prawego starego sługi, jakim był ś. p. Kaczorowski.

Albert Wilczyński.



Biblioteka „Wienca“ i „Pszczołki“

wychodzi zeszytami każdego miesiąca

prenumerata całoroczna wynosi 1 złr., którą przysyłać należy przekazem pocztowym do Administracyi „Wienca“ i „Pszczołki“ we Lwowie, ul. Akademicka 1. 8.

Przy odbiorze większej ilości, prenumeratu na Bibliotekę „Wienca“ i „Pszczołki“ wynosi znacznie taniej, a mianowicie:

za 6 egzemplarzy każdego miesiąca, —	całorocznie	4 złr.
za 12	„	7 „
za 15	„	9 „

Pojedynczy zeszyt Biblioteki „Wienca“ i „Pszczołki“ kosztuje 10 ct. — z przesyłką pocztową 12 ct.

W dalszym ciągu wydawnictwa Biblioteczki „Wienca“ i „Pszczołki“ będziemy drukować:

Wieś uboga. — Wieś bogata. — Po śmierci mojego ojca. — Staeh z Kępy i t.d.

Powiastrka: „Po śmierci mojego ojca“ będzie zawierać praktyczną naukę z dziedziny prawa, jak to mają sobie właściciele radzić, gdy umrze im ktoś z rodziny zostawiając majątek. *Opowiadanie to ma na celu pouczyć o postępowaniu przy dziedziczeniu.*

Następnie pomieścimy także krótki ale nader praktyczny kurs nauki rolniczej, a oprócz tego wydamy dwa zeszyty wraz z mapami, z których jeden zawierać będzie geografję Polski — drugi całego świata.

K
463

„WIENIEC” I „PSZCZÓŁKA”

pisma polityczne ludowe

wychodzą w Lwowie rok dziewiąty, co drugi
czwarteek naprzemiennie tak, że każdego tygo-
dnie jedno z tychże rak prenumeratorem
dochodzi.

Prenumerata całoroczna na oba te pisma
wynosi tylko 3 zlr. — półroczna 1 zlr. 50 ct.

Jako dodatek do tych pism wychodzi co
miesiąc zeszytami:

Biblioteka „Wienca” i „Pszczółki”

za którą prenumeratorem „Wienca”
i „Pszczółki” dopłacają rocznie tylko 10 ct.

Prz. Prenumeratorem płacący za cały
rok z góry 3 zlr. 10 ct. za „Wieniec”,
„Pszczółki” i „Bibliotekę” otrzymują
bezpłatnie Kalendarz „Wienca” i
„Pszczółki.”

Adres: Redakcja i Administracja „Wienca”
i „Pszczółki” w Lwowie, ul. Akade-
micka 1. S.

ed



<http://rcin.org.pl>

463

K